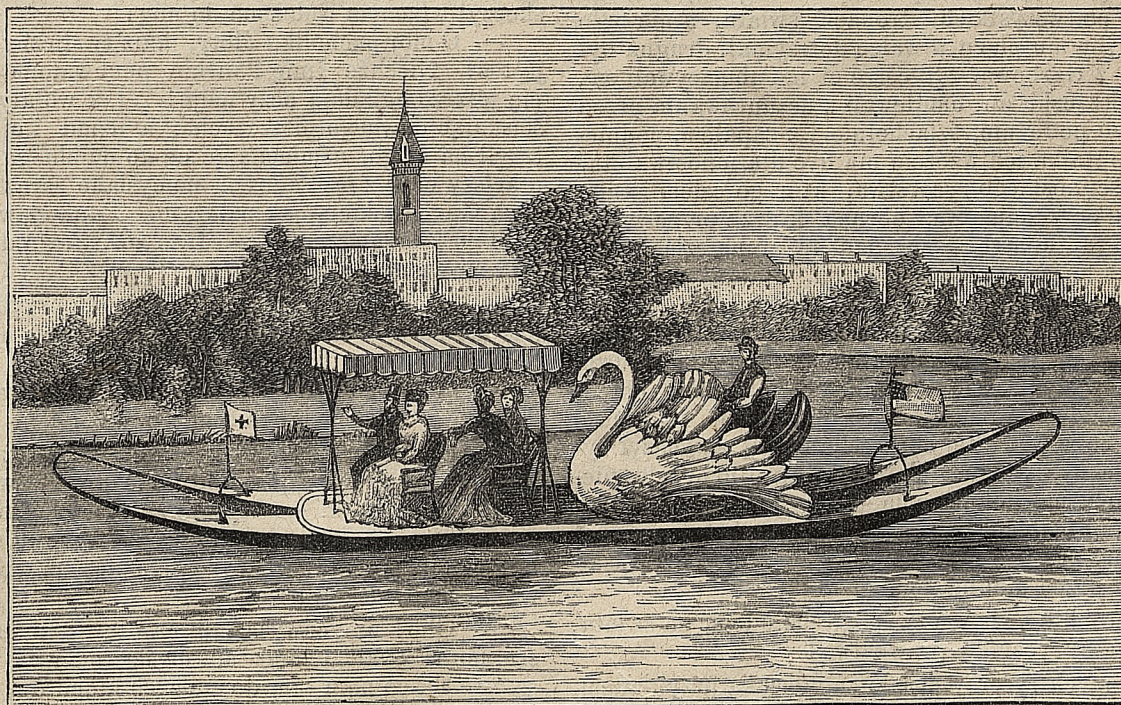




TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Welocyped wodny.

WELOCYPED WODNY.

Welocypedy zwyczajne są wszędzie bardzo rozpowszechnione, wodne należą do osobliwości, w Ameryce tylko na-

potkać je można. Rysunek nasz przedstawia bardzo ozdobny welocyped wodny, kursujący przez całe lato w ogrodzie publicznym w Bostonie. Składa się on z dwóch łodzi, połączonych wspólną podłogą, na której ustawione są pod osłoną

namiotu siedzenia dla pasażerów. Z tyłu siedzi sternik, zupełnie jak jeździec na welocypedzie, lecz mechanizm, wprawiający w ruch cały statek, ukryty jest pod rozłożonymi skrzydłami ogromnego łabędzia, pięknie wyrobionego z drzewa. Mechanizm ten jest to poprostu koło, opatrzone łopatkami, jak w statkach parowych, sternik obraca je za pomocą pedałów, które nogami przyciska.

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....a

(Dalszy ciąg).

XVI.

Jakie są skutki, gdy panna książki czyta.

Nie wrócił zatem rycerz Zawisza z posłami polskimi do ojczyzny, lecz towarzyszył królowi Zygmunutowi w podróży do Aragonii. Jak tego spodziewał się król ten, przyjmowano go tam wspaniale, król Ferdynand Aragoński wyjechał na jego przyjęcie do Perpignan i urządził tam wielkie turnieje, na które sprosił najdzielniejszych rycerzy z całej zachodniej Europy, a pierwszym z nich był sławny rycerz Jan z Aragonii, kolebki rycerstwa chrześcijańskiego. I otóż przecież ujrzał natenczas Jaśko z Dębinki to, o czém marzył, odkąd żył na świecie, ujrzał prawdziwą walkę rycerską turniejową.

Na okół ogromnego placu, na wspaniale przystrojonych, wyniosłych miejscach, zasiedli królowie Ferdynand Aragoński, i Zygmunt, i Piotr de Luna, Benedykt XIII, mnóstwo prałatów, doktorów, książąt i rycerzy, i wjechali w szranki dwaj rycerze potężni: jednym był Jan z Aragonii, którego sława brzmiała po wszystkich stronach świata, a nie było człowieka, któryby mu placu w walce dotrzymał, drugim był Zawisza Czarny z Garbowa. Rycerze ci nie obmacywali się, nie trwożyli o sprzączki ani omdlewali z usznurowania przed walką. Walczyli poważnie, szlachetnie i z zapalem, podnieconym myślą, że walka ich wzorem ma być dla mnóstwa otaczającego chrześcijańskiego rycerstwa, którego celem istnienia jest obrona chrześcijaństwa, obrona krzyża przeciw niewiernym. Myśl ta, unosząca się nad tą areną szlachetnej walki, nadawała jęj szczególniejszy urok, otaczając ją świetną, wspaniałą a poważną aureolą świątobliwości. Nie było tam wrzasków, oklasków i miotań, mających oznajmiać uniesienie widzów, bo wszyscy tłumili oddech tak, że nieledwie bicie serc tysięcy słyszeć się dawało. Świat to cały chrześcijański tłumił oddech i patrzył z uszanowaniem. I stało się w obec świata, że w walce tej chrześcijańskiej zwyciężył rycerz Zawisza Czarny, Polak. To zwycięstwo było niby pieczęcią przyłożoną na dokumencie sławy jego, wypisanym świetnymi czynami całego życia tego męża. Po skończonej walce, zwyciężony prosił o uścisk zwycięzcy, a giermek Jaśko z Dębinki upadł przed nim na kolana, wołając:

— Rycerzu, pobłogosław mię, mogę już odejść ze świata, bo widziałem walkę rycerską prawdziwą!

Mnóstwo młodych rycerzy poszło za giermka przykładem. Król Zygmunt sam jeden tylko nie wiedział, co miał czynić, czy cieszyć się, czy smucić, bo dwóch jego i on sam był wprawdzie uświetniony przez Zawiszę po nad wszelki wyraz, ale za to o samym Zygmuncie zapomniano przytém i nikt na niego nie zważał.

Turnieje udały się świetnie, ale Zygmunutowi nie powiodło się namówić Benedykta XIII do swych zamysłów, czyli ład zrobić, jak się wyrażał; mimo to, po skończonych uroczystościach, nadąwszy się wielką pychą, rzekł do Zawiszy:

— No, a teraz pojedziemy do Paryża zrobić ład między tym Karolem VI francuzkim i Henrykiem V angielskim, aby się klócić przestali, a straszsej wojnie dali pokój!

— Oj oj — mruknął giermek Jaśko z Dębinki do swego rycerza — pewno tak się zrobi ten ład w Paryżu, jak się w Perpignan zrobił.

I zgadł giermek, bo i w Paryżu Zygmunt nie nie sprawił dla uspokojenia wojny między Anglią i Francją, tylko za pośrednictwem francuzkiego króla wyjednał dla swoich ukochanych Krzyżaków przedłużenie rozejmu z Polską, i Zawiszy na to uzyskał potwierdzenie:

— A teraz któż wyjedna potwierdzenie to u króla Jagielly, jeżeli ja tam sam nie pojedę? — spytał rycerz Zawisza, chwytając w lot sposobność powrotu do ojczyzny. Zygmunt się zakłopotał o Krzyżaków:

— No, to jedź, ale pamiętaj, wracaj prędko, bo ja się bez ciebie obejść nie mogę! — rzekł król Zygmunt, udając, że lęz ociera.

— Otóż masz! — rzekł w jakiś czas później Zawisza, otrzymawszy dokument z wielu przywieszonemi pieczęciami — i znowu muszę wprzód do Krakowa niż do Garbowa dążyć, bo oto król Jagiello obdarza mię starostwem spiskiem, więc mu dziękować trzeba.

Po namyśle przecież postanowił choć na krótki jeden dzień w przejeździe zaspokoić rodziców tęsknotę, zanim z Krakowa na dłuższy do nich powróci. Świetnym acz podróży tylko poczem rycerskim wjeżdżano na ten raz do Garbowa. Jechano w milczeniu, serca tylko głośno kołatały, bo każdy myślał sobie:

— Hej hej, co też tam moi staruszkowie robią? jak się mają?... — dopiero gdy już szczyt Dębinki widać było, sam pan Zawisza rzekł:

— A toż co? są tu zmiany jakieś, byle na dobre... Jaśko widzę sad potężny a piękny rozrósł się tu, gdzie był niejaki kawał polanki.

— Oj, toż to Michałowie Zborkowie tu mieszkali dawniej, czy tylko im się co niedobrego nie przytrafiło, że są te zmiany? — powiedział młody Jaśko. Ale zapomniał o tój trosce, gdy skoczył własnym rodzicom do nóg:

— O mój pacholiku Złoty, jakież ty śliczny a dostojny mój jesteś! Niechże Imię Pańskie pochwalone będzie za to, że cię jeszcze oglądają oczy moje!... tak wołały matka i babka, ściskając dawnego pieszczocha, a dziad i ojciec z dumą patrzyli na niego, uśmiechając się do dzielnego męża. Zaledwie otarłszy oczy z łez radości, pomyślano zaraz odwiedzić państwa Garbowskich, jak należało. Pana Zawiszy już tam nie było po kilkogodzinnej zaledwie gościnie, a dobra pani zawołała na widok nowego gościa:

— Pacholiku Złoty mój, dobrze, że przybywasz pocieszyć nas po naszym Zawiszy, bośmy go ledwo ujrżeli, a już odjechał!

— Obowiązek dla króla a kraju pierwszy jest, niż dla rodziców! — powiedział sam pan poważnie.

— Oj, moja Jaśkowa kochana, żeby też Pan Bóg zmiłował się nad nami, a pozwolił mi synowój a wnuków z mojego Zawiszy doczekać! — szeptała pani, a Jaśkowa spojrzawszy na swego syna i także westchnęła za synową i wnukami, i ciszej potem rozmawiały panie, aż wróciwszy do domu rzekła pani Jaśkowa wesoło:

— Oho! przychwyca tam na dłużej podobno pana Zawiszę, bo na gwałt o żonce mu myślą rodzice!

— Ej, co nam tam do cudzych kłopotów, pomyślećby ci trzeba, że i Zborków należy się odwiedzić! — powiedział ojciec Jaśko, żądny pochwalić się synem.

— A cóż to się dzieje, że oni jeszcze dotąd nas nie odwiedzili? A co to tam za zmiany? Czy u nich co zaszło dziwnego? Czy to oni jeszcze w dworcu swym żyją? — spytał Złoty pacholik, przypomniawszy sobie nagle o Zborkach.

— Żyją, ale co zaszło to zaszło, i dziwnego bardzo — powiadał starzy, kręcąc głowami — Sama Zborkowa na zwichniętą nogę chorowała długo, a przez ten czas Jadwiga

wu się odwróciła ze wszystkim na nice; jak zrazu były swawolnicą umorusaną, jak później była strojnisią do niczego, tak teraz stała się rządna, dzielną gospodynią, ale jaką, ale jaką! tego wypowiedzieć trudno!

— Ho, ho, ho! a toż zkąd znowu jęć się wzięło? — zdumiony Jaśko pytał.

— I to jeszcze nic, ale gdy pana Michała krewniaczka pod tenże czas zmarła, zostawisz sierotami trzech chłopczków, to państwo Zborkowie przygarnęli ich i wychowują; ale że sam Zborek zajęty pracą koło roli, a sama ciągle nie domaga, tedy naprawdę wychowuje tych krewniaków panna Jadwisia, ale jak mądrze, ale jak!... to jakby jaki kapelan!

— Oj, oj, oj! a to znów co? — dziwił się młody Jaśko, coraz szerzej roztwierając oczy.

— I nie dość na tem, ale ona pieniądze dla nich zbiera po to, aby ich, gdy podrosną, do akademii krakowskiej królowej Jadwigi posłać, wiesz ty o tém? bo powiada, że nauka grunt na świecie! a jakby oni nie mieli ochoty do nauk, to Jadwiś powiada, że lada sieroty będzie brać a na akademią posyłać, aby krajowi takich obywateli przysporzyć, jakich mu potrzeba!

— O, dla Boga, a zkądże ma pieniądze na to? przecież Zborkowie i nie bardzo zamożni, i bardzo zabiegliwi nawet? — pytał, osłupiały z podziwu giermek.

— A widzisz! otóż żeby pieniądze mieć, wzięła się Jadwiś do pasieki, do sadu, do drobiu; co od niej jarzyn, owocu, miodu, wosku, a kurczą do Krakowa za dobre pieniądze jeździ, to fu, fu, fu!... nie łatwo to zliczyć, a trudniej jeszcze uwierzyć!

— No, no,... ktoby się też tego po owęć Jadwisi umorusanej, a jeszcze mniej po wystrojonej spodziewał!... — kiwając głową, dziwił się młody Jaśko.

— A to wszystko jeszcze mniejsza, ale gdybyś widział, jak sama Jadwiś się uczy, do kapelana, do pańskiego dworu chodząc na naukę, jaką księgę sobie z Krakowa przywiozła, i jak na nią czyta w głos!... a jak pisze, piórem na pergaminie!...

— Czyta! pisze? Jadwiś czyta, pisze? — krzyknął giermek, od przytomności ze zdumienia odchodząc — a toż król Jagiełło czytać ani pisać nie umie.

— A widzisz! a Jadwiś, dziewczeczka z Garbowa, umie!... i wszystko wyczyta, nie tylko na swojej księdze, ale na każdej i z każdego pisma, zupełnie tak, jak ksiądz kapelan!

Tak na wyścigi babka i matka opowiadały niepodobne do wiary przemiany Jadwisine, aż wtém stary dziad Jaśko rzecze:

— Tak to jest, a no powiem ci, mój chłopcze, że jeżeli mi się wprzód Zborkówny postęпки nie podobały, to terazniejsze podobają mi się jeszcze mniej: a toż znowu co za obyczaj, aby dziewczucha uczona była, jak ksiądz! skończenie świata, czy co!...

— Ha, kiedy Jadwiś powiada, że wszyscy niedługo i wszystkie uczyć się będą! — wtrąciła babka *).

— Otóż i ja tak mówię, jak pan ojciec! — rzekł ojciec Jaśko — ale to nam nie przeszkadza odwiedzić Zborków, bo oni teraz nie tacy, jak dawniej, pochopni do przechadzek, gdyż córki od pracy trudno im oderwać, więc do nas tak zaraz nie przyjdą, a należy im się przecież sąsiadka uprzejmość, gdyż zacni są bądź z nich sąsiedzi.

Jakoż po takiej decyzji, zabrali się państwo Jaśkowie całym domem do państwa Zborków, a gdy tam przyszli, tedy młody Jaśko przekonał się, że jego matka i babka nie a nie w opowiadaniu nie przesadziły. Panna Jadwiga, dobra córka, dobra krewna, rządna, śliczna, wesoła, pracowita, zgrabna a po gospodarsku ubrana, tak jak to pani Jaśkowa Beata umiała, tak zachwyciła młodego giermka, tak mu się podobała, jak nigdy żadna najstrojniejsza królewna ani księżniczka, których dość się przecież napatrzał na szerokim

świecie. Zaraz tedy wróciwszy do domu, pomyślał sobie młody Jaśko, że kiedy pan Zawisza ma dozgonną towarzyszkę pojąć, jak o tém już na pewno mówiono, to i giermkowi przystałoby się ożenić, aby za bardzo po rycerzu swym nie tęsknić, a jak się ożenić, to oczywiście nie z kim, tylko z dzielną Jadwisią. Tak sobie umyśliwszy i rozmyśliwszy wszystko należycie, co się przecież nie w jednym dniu stało, gdy przysły wieści, że pan Zawisza już ślub ma brać i państwo Garbowscy na wesele pojechali, młody Jaśko opowiedział swoje zamysły rodzicom, dodając, że należałoby rzecz tę coprędzej załatwić, jeżeli taka będzie ich wola.

— Bo — mówił — radbym z żeniączką uporać się równocześnie, jak pan Zawisza ze swoją, a to dla tego, abym był gotów z nim jechać, gdyby mu na wojenkę nagle jechać wypadło, bo cóżby było, gdyby mię wezwał do siebie, a ja bym właśnie do ślubu szedł? Jużci pierwszy mi pan Zawisza, niż wszystko, więcby ślubu nie wziął, tylko choćby z przed ołtarza skoczył na koni, a toby przecież państwu Zborkom nieprzyjemnie było, więc trzeba się śpieszyć. A za to, jak po wojnie do domu powrócim, miłoś to będzie człowiekowi odpocząć w lada chacie własnej, gdy taka rządna, dzielna, i pracowita Jadwiś ład w niej będzie trzymała.

(d. c. n.)

MAŁY ARTYSTA.

Raz wyszli sobie mieszkańcy dworku
Użyć przechadzki w dzionek majowy,
A tam na łące, opodał boru,
Siedział małutki chłopiec wioskowy,
I wydobywał tak rzewne tony
Z prostych skrzypceczek, że wnet przystanie
Sam dziedzic wioski, i grą zdumiony,
Takie chłopczynie zada pytanie:

— Ozy cię ochota czasem nie bierze
Tę gry się uczyć? powiedz mi szczerze.

— O radbym, radbym! — chłopiec zawoła
— Lecz trzeba na to pieniędzy dużo:
Ojciec uprawia grunt w pocie czoła,
Bracia po chatach sąsiednich służą,
Z czegoż naukę moję zapłacą?
— Ja ofiaruję wszystko, co trzeba —
Rzecz pan wioski — a z czasem pracą
Własną zdobędziesz sobie kęs chleba.

Chłopiec uchwyci rękę dziedzica
I łąza wdzięczności zrosi mu lica.

Przeszło lat kilka od owęć pory:
Malec z natury cichy i skromny,
Uczył się pilnie, miał dobre wzory,
Zrobił też w sztuce postęp ogromny.
Tak rzeczy stały. Raz na wezwanie
Przybył do dworu, wszedł na pokoje:
Pani zasiadła przy fortepianie,
On ujął w ręce skrzypceczki swoje,

I grać rozpoczął. Wszyscy wśród sali
Milecząc gry jego cudnej słuchali.

Ledwie ostatni dźwięk skrzypiec skona,
Ledwie głos pieśni zmiłknie uroczej,
Opiekun porwie go w swe ramiona,
A z oczu cicha łąza mu się stoczy:
— Posiadasz — rzecze — zapal młodzieńczy...
Podniosę talent twój niezrównany,
Starania moje sława uwieńczy,
Będziesz artystą, chłopcze kochany...

A wykonawca tę gry uroczej
Skromnie ku ziemi opuści oczy.

*) Wiadomo, że niedługo potem musiano aż prawem zabronić młodzieży tłumnego porzucania roli dla nauk.

I znowu długie minęły lata,
A jak to nieraz w świecie się dzieje,
Rodzina przedtém można, bogata,
Smutne upadku przeszła koleje;
Ow dziedzie wioski, który miał krocie
W swojej szkatule, dziś przygnębiony
Wziął się do pracy i w czoła pocie
Na chleb zarabiał dla dzieci, żony;

Lecz mimo trudów czasem bywało,
Że nawet chleba w domu nie stało.

Raz, w czasie zimy śnieżnej i srogiój,
Wszedł nieznajomy bogato odzian
Do téj izdebki biednej, ubogiój...
Co? wszak zgadniecie, kim był ów młodzian?
— Pomnisz — zawoła — kiedyś przed laty
Biednemu chłopcu dał wychowanie?
Dzisiaj tyś w nędzy, a jam bogaty,
Dzisiaj ja pomoc nosię ci, panie.

Pozwól, że podział majątku zrobię,
Bo co mam, wszystko zawdzięczam Tobie!

Ludwik Niemojowski.

ZWYCIĘZTWO POD CHOCIMEM.

Rok jeszcze nie upłynął od straszliwój klęski, którą poniósł hetman Żółkiewski na polach cecorskich, a już potęgą muzułmańska znowu zagroziła Polsce. Powodem do wojny były śmiałe napady Kozaków, którzy dla łupów zapuszczali się nieraz aż pod sam Carogród i takie w posiadłościach tureckich popełniali bezprawia, jak Tatarzy w Polsce. Sułtan Osman, uzuchwalony poprzedniem zwycięstwem pod Cecorą, już w Czerwcu r. 1621 z ogromną potęgą wyruszył sam ku granicom polskim, nad Dniestr i położył obóz pod osłoną silnój twierdzy Chocimskiej. Prowadził on za sobą nieprzeliczone zastępy, samego wojska tureckiego było 300,000, 100,000 Tatarów śpieszyło także w nadziei łupów bogatych pod wodzą Osmana. Dział polowych, oprócz większych, do rozbijania szańców, liczono 260. Cztery słonie wiozły paradne namioty sułtańskie, dalej postępowało 10,000 wielbłądów, obładowanych zapasami żywności i amunicją, a przy każdym na siodle zatknięta była kopia z proporcem dla większój okazałości i postrachu. Pośród tego wojska po raz pierwszy ukazały się oczom rycerstwa polskiego zastępy murzynów w turbanach. Osman ani wątpił, że z łatwością pokona Polaków, a otworzywszy sobie drogę, posunął się szybko w głąb kraju i będzie mógł bez przeszkody prowadzić zwyciężkie swoje wojska przeciw innym narodom chrześcijańskim. Marzeniem Turków było zawojowanie całej Europy, lecz ile razy przekroczyli granice swoje, zawsze po drodze napotykali nie liczne lecz bohaterskie hufce polskie, które téj powodzi pogańskiej skutecznie tamę stawiały.

Panujący wówczas w Polsce Zygmunt III rozesłał posłów do monarchów chrześcijańskich, wzywając pomocy ich w téj sprawie, która dla całego chrześcijaństwa ogromne miała znaczenie, powstrzymanie nawały tureckiej nad Dniestrem nie tylko Polskę lecz i inne państwa ochronić miało od groźnego niebezpieczeństwa. Nikt jednak posiłków nie nadesłał, wszyscy wymówili się różnemi pozorami, Polska pozostawiona była własnemu siłom. Lecz znalazł się wódz mężny i doświadczony, ten sam, który skruszył moc szwedzką pod Kirchholmem, on to miał stawić czoło zastępom muzułmańskim. Jan Karol Chodkiewicz był już wówczas sześćdziesięcioletnim starcem, gdy król Zygmunt III mianował go wodzem wojska, które wyruszyło pod Chocim na obronę granic Rzeczypospolitej. Był on wielkim hetmanem litewskim, Lubomirski, hetman koronny, przyłączył się do niego, wszystkie hufce, razem zebrane, wynosiły zaledwie 30,000 ludzi, przy-

było drugie tyle Kozaków pod wodzą dzielnego Piotra Konaszewicza, zwanego Sahajdacznym.

Garstka ta mężnie wyruszyła przeciw 400,000 Turków i przebywszy Dniestr, rozłożyła obóz pod Chocimem. Gdy rozeszły się wieści o niesłychanych siłach nieprzyjacielskich, a ten i ów próbował ich liczbę odgadnąć, sędziwy wódz podniósł w górę szablę i zawołał: „Ta ich policzył!” 2 Września ukazał się w oddaleniu wielki tuman, to wojsko Osmana nadciągało. Wkrótce pola i wzgórki okoliczne zabieliły się namiotami, pośród nich odznaczał się barwą purpurową przepyszny sułtański, przyozdobiony złocistemi gąbkami, proporcami i chorągwiami różnobarwnymi. Ogromny ten namiot, wewnątrz podzielony na sale i pokoje, kobiercami obwieszane, wyglądał na pałac bogaty. Przed nim stały owe słonie, które go przydzwigały, dokoła ustawiono najdzielniejsze hufce janczarów i spahów. Wzniesiono też obok wieżę wysoką, z której sułtan spoglądał na obroty wojsk swoich. I baszowie prześcigali się także w bogactwie namiotów, cały ten obóz wyglądał jakby miasto ludne i ruchliwe.

Nie zastraszył ten widok rycerstwa polskiego, sędziwy wódz dodał ducha gorącą przemową, a gdy dzika wrzawa i odgłos dzwonów ozwał się z obozu pogańskiego, nasi odpowiedzieli pieśnią Bogarodzicy i śmiało wystąpili do walki. Przybył też do obozu król Władysław, lecz nie mógł brać udziału w walkach, gdyż rochorował się na febrę i nie opuszczał łoża. Rozpoczął się bój krwawy, morderczy, mała garstka rycerzy pod wodzą Chodkiewicza i Lubomirskiego stawiała tak dzielnie przeciw niezmiernym tłumom pogaństwa, że im raz po raz klęski zadawała. Osman wściekał się ze złości, widziano go w namiocie wspaniałym wijącego się w płaczu szalonym, sam potem zbierał najbitniejsze swe hufce i następował na obóz polski, lecz ten stał murem i odpierał wszelkie napaści.

Wśród tych tryumfów smutek wielki nawiedził wojsko polskie, Chodkiewicz, złamany wiekiem, chorobą, i trudami, d. 23 Września złożył buławę wraz z najwyższem dowództwem w ręce Lubomirskiego i Bogu oddał ducha. Ukrywano śmierć jego przed wojskiem przez dni kilka, nie wiadano o niej jeszcze d. 28 Września, gdy Turcy całą siłą przypuścili szturm straszliwy i ze stratą odparci zostali po długiej, zaciętej walce. Tymczasem zimno trapić zaczęło zastępy Osmana, do łagodnego klimatu nawykłe, i głód im się uczuwać dawał, niełatwo bowiem było nakarmić takie tłumy, musiał więc sułtan rad nie rad rozpocząć układy o pokój.

Pokój ten, bardzo korzystny dla Rzeczypospolitej, podpisano d. 9 Października r. 1621. Jako pełnomocnicy od strony Polski występowali: Stanisław Żurawiński, kasztelan bełzki i Jakób Sobieski, wojewodzie lubelski, który nie przeczuwał wówczas, że syn jego, bohaterski Jan III, na temże samem miejscu pod Chocimem niemniej świetne odniesie zwycięstwo w 52 lata później. O tém zwycięstwie opowiemy osobno.

Bohaterskie te boje Chodkiewicza i Lubomirskiego z potęgą muzułmańską, trwające prawie miesiąc cały, opisał szczegółowo Wacław Potocki w pięknym poemacie, pod tytułem: „Wojna Chocimska”, który odszukano w rękopiśmie dopiero za naszych czasów i poraz pierwszy drukiem ogłoszono w r. 1850. Wacław Potocki urodził się w r. 1622, a więc mógł o tych czynach bohaterskich słyszeć opowiadania świadków naocznych, towarzyszy broni obu hetmanów, utwór jego ma zatem, oprócz poetycznych zalet, i niepospolitą wartość historyczną. Przytoczymy tu niektóre ustępy z tego poematu, który jest nadzwyczaj cennym, a jednak mało znanym zabytkiem dawniejszój naszej literatury. Potocki żył w czasach, gdy w całym świecie cywilizowanym poeci starali się naśladować wzory starożytne, greckie i łacińskie, dlatego też we wstępie, jakkolwiek wzywa pomocy Bożej w pięknej modlitwie, wspomina jednak jednocześnie, i Marsa, i muzę.

Wprzód niżli sarmackiego Marsa krwawe dzieje
Potomnym wiekom muza na papier wyleje,
Boże! którego nieba, ziemie, morza chwałą,
Co tak młdrem piórem, jako władniesz groźną stałą,



Mały artysta (str. 371).

Co się mścisz nad ostatnim tego domu węglem,
Gdzie kto usty przysięga sercem nieprzysięgłem,
Ciebie proszę, abyś to, co ku swojej wdzięce
W tym królestwie śmiertelne chcą wspominać ręce,
Szczęścić raczył: boć to jest dzieło twój prawice,
Hardych tyranów dumę wywracać na nice,
Mieszać pysznych i z błotem górne równać myśli.
Przez tych, którzy swą siłą od Ciebie zawiśli.

Polską naszą Bellonę na teatrum świata
Sarmackiego prowadzę
..... otwieraj odzwierny
Wrota, gdzie na szerokiej mój ojczyzny sali
Wielcy bohaterowie będą się pisali.

Tu następuje długi opis przygotowań wojennych z obu
stron, rozmowa sułtana z Muftim, który mu wyprawę odra-
dza i przepowiada klęskę. Nareszcie stają wojska polskie
nad Dniestrem.

Pięknie tam było patrzeć, gdy w onęj równiunie
Tyło krzyżów, tyło się pogoni rozwinie!
Tyło orłów walecznych na zaszczyt korony,
Niosąc gotowe skrzydła, wyciągnięte szpony
Na ścierwy bisurmańskie; gdzie kruki i sępy
I pożerze harpie wielkimi zastępy,
Czując o pewnym żerze, tém leciały chciwiej,
Im się każdy przy orłach sarmackich pożywi.

Chodkiewicz, acz go starość długim wiekiem zgniata,
Serca jednak wielkością sił ciała nadplata,
Twarz usławszy powagą i sędziwe skronie,
Na statecznym przed wojskiem krzepi się Hładonie *),
Hetman polski roztropny, serdeczny, wspaniały,
Szczęśliwy i ostrożny, którego chowały
Na to nieba życzliwe, aby w takiej toni
Orłowi i walecznej hetmanił Pogoni.

*) Hładon, gładki, nazwa konia Chodkiewicza.

A oto z drugiej strony nadciągają zastępy muzułmańskie.

Zabiegały się góry i Dniestrowe brzegi,
Rzekłby kto, że na ziemię świeże spadły śniegi,
Skoro Turcy stanęli, skoro swoje w loty
Okiem nieprzemierzono rozbieli namioty.
... na widoku stały
Nieznane oczom naszym dotąd specyale,
Straszne słonie, co trąby okrom mają kielców (kłów)
Każdy swą wieżę dźwiga, każda wieża strzelców
Po trzydziestu zawiera; tak, gdzie tylko chodzą
Rozdrażnione bestye, nieprzyjaciół szkodzą.

Tu następuje długi opis nieprzeliczonych szeregów, które w chmurze kurzawy ukazują się oczom rycerstwa polskiego.

W tymże obłoku stali murzyni cudowni;
Jako się błyszczy iskra w opalowej głowni,
Tak i tym z warg napuchłych, z czarniejszej nad szmelce
Paszczęki bielsze niż śnieg wyglądały kielce.
Tu się w szerokiej białej na wierzchu koszuli
Po polach mamelucy przestronnych rozsuli,
Jakoby przy łabędziach postawił kto kruki,
A gęste się nad nimi wieszają buńczuki.

Osman z niecierpliwością gotuje się do napaści na obóz polski, wybiera się tam na obiad, wiadomość ta dochodzi do uszu sędziwego Chodkiewicza:

A ten, skóro nabożne modlitwy odprawi,
Wstawszy z kolan na nogi: — Rad mu będę, prawi,
Tylko niechaj nie mieszka, (zwleka) niech nie kwasi grochu,
Będzie bigos gorący z ołowiu i prochu;
Jeżeli też chce zażyć pieczeni podróżnej,
Gotowi zaregabcze czekają i z rożny.

Opisy zwyciężkich bojów są zanadto obszerne, ażebyśmy z nich mogli choćby wybitniejsze tylko ustępy przytoczyć, wspomniane są szczegółowo czyny bohaterskie, nietylko hetmanów, ale i wielu innych rycerzy, którzy się walecznością odznaczyli w tej wojnie. Poeta, jak rozpoczął od modlitwy, tak i kończy swój utwór modlitwą dziękczynną do Boga, który zastępom chrześcijańskim błogosławił.

POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA

w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

Póki Samesi żyli, zgodnie i uczciwie, póty panowali nad całą ziemią, mieli pełno reniferów i bardzo im dobrze było na świecie. Ale raz wkradła się pomiędzy nich zła siła, imieniem Chciwość i zaczęła bruździć, aby ich pozbawić szczęścia, którego im zazdrościła. Tedy zaraz zdraić się zaczęły w Samedyi różne niegodziwości, a za nimi w trop niezgody szły i kłótnie. Chciwość, zła siła, dokazała już tego, że wszystkich Samesów poswarzyła ze sobą, ale jeszcze nie mogła dać rady trzem młodym synom jednej wdowy, którzy zawsze jednakowo się kochali i pielegnowali starą matkę. Więc Chciwość, zła siła, uwiązała się na tych trzech braci. Różne i przeróżne wyprawiała z nimi sztuki, aby ich do złego doprowadzić, zawsze napróżno, aż raz... Było to na letnich pastwiskach nad morzem, gdzie zła siła sprawiła, że renifery najstarszego i najmłodszego brata rozrodziły się w mnóstwo młodzieńskich reniferzątek, a renifery średniego brata nie miały ani jednego młodego. Wielka złość ogarnęła średniego brata, poszedł do krewnych i poskarżył się, że bracia zabrali mu jego renifery. Póty płakał, aż wzruszył krewnych i ci przyszli z nim

upominać braci, aby grabież zwrócili. Bracia rozgniewali się okropnie, a że mieli swoich przyjaciół tak, jak średni miał swoich, przeto od słowa do słowa przyszło do strasznej kłótni. Po długiej wrzawie stanęło na tém, że wszyscy Samesi zgodzili się na jedno, aby trzej owi bracia przysięgli tu w tej sameskiej przedwiecznej świątyni, czyje są renifery?... Bracia zgodzili się. Wszystek lud sameski stłoczył się tu na tym ogromnym placu koło świątyni, odprowadno ofiary wszelkie, jak należało, wedle starych obrzędów, a potem średni brat pierwszy, bo tak mu kazano, stanął wśród rozwartych zawsze ścian tych oto ogromnych, na tych schodach, które leżą tam w gruzach i głośno zaprzysiągł w obliczu nieba, ziemi, morza, i ludzi, i Najwyższego Ducha Ibmeta, jako wszystkie młode renifery zostały mu przez braci zagrabione... Ale zaledwo przebrzmiały słowa przysięgi, gdy straszny huk powstał na świecie, świątynia zapadła się na głowę krzywoprzysięzcy, pierwszego pośród Samesów, i rozsypała się w gruzy tak, jak jest w tej chwili, a sameski lud, co zeń nie zginęło pod gruzami, uciekł jęcząc i płacząc, że chciwy krzywoprzysięzca sprowadził nieszczęście na wszystką sameską ziemię. I tak się stało. Renifery zaczęły marnieć, ludzie zaczęli chwycić się nowych sposobów do życia, obcy ludzie zaczęli wypierać Samesów z ich własnego kraju na brzegi, i przepadła szczelność sameska i sami Samesi, bo jest ich coraz to mniej na świecie od owej chwili. Tak to było z tą świątynią!

Tak opowiedziawszy bajkę sameską, Beks stał nieporuszony na pokładzie, wpatrując się smutno w gruzy świątyni, zbudowanej, aby w niej chwalono Najwyższego ducha Ibmeta, a zburzonej w chwili, gdy pierwsze kłamstwo Samesa obraziło tego ducha, i ściągnęło gniew jego na cały lud sameski. Żałuję, że nie jestem uczonym człowiekiem, abym mógł wyciągnąć z tej bajki czy podania jego tajemnicze znaczenie, czuję jednakże, że ono jest tam ukryte. Koniec końców zdaje mi się, że we wszystkich podobnych tradycjach u rozmaitych ludów zawsze człowiek sam na siebie ściąga niedolę przez odstąpienie od prostych i wrodzonych mu niejako praw uczciwości. Przyznam się, że to moje spostrzeżenie dawało mi zawsze do myślenia.

Tymczasem gruzy świątyni znikły nam z oczu. Minęliśmy kilka mniejszych fiordów i rybackich stacyj, potem kierując się na południe, wpłynęliśmy w ogromny Lakse-fiord i zatrzymaliśmy się na trzy dni w Lebesby, czego najmocniej żałowałem, bo chociaż notatki ojca powiększyły się tutaj, to „Lotna Strzała” porzuciła nas tymczasem wraz z grzecznym dowódcą i rozmownym Beksem, od którego byłbym zapewne nie jedno jeszcze mógł usłyszeć. Wypłynawszy z Lebesby na obrzydliwym statku, napchanym cuchnącym towarem, tak, że ledwośmy się nie podusili, płynęliśmy prosto na północ znów z fiordu na ocean, tuż około wyspy Swarholtkluben czyli Ptasięj. Jest to ogromna skała, wystająca z morza zupełnie prosto, jakby jaka kamienica, wysoka, abym nie przesadził, przynajmniej na jakie czterysta łokci, długa na tysiąc i parę set najmniej, cała potrzaskana i porozdzierana naokoło, a w jej szczelinach ptactwo mieszka tak gromadnie, że jej właściciel, przedsiębiorca prywatny, majątek robi na sprzedaży jaj, chociaż najdoskonalszemi drabinami nie można jeszcze dostać się ani do połowy tego gniazda pionowego. Chciałem przypatrzeć się barwie tej skały, ale dojrząc jej nie mogłem, dlatego, że ptactwo, czy zaniepokojone naszym zbliżeniem, czy też dla jakichś spraw własnych, kręciło się wzawliwie, okrywając całą wyspę jedną chmurą ruchomą. Angliacy chcieli strzelać w tę chmurę, aby jeszcze większego narobić popłochu, ale Angielka odradziła im to, dowodząc, że ta wyspa musi być ojczyzną i stolicą zarazem ptasiego plemienia, a więc trzeba szanować prawo obywatelstwa. Pojedyncze ptaki, przelatujące bliżej nas, były to prawie same mewki o różowych nóżkach, szarych katankach i białych brzuskach. Ludzie z załogi naszego statku zaręczali, że gdyby strzelano, to chmara ptasia, wzbiwszy się w górę, zasłoniłaby nam słońce i ciemności okryłyby nas na chwilę, a hałas byłby taki, że ogłuchnąć można od niego; oni sami bawili się już niemi takim płoszeniem tego ptactwa, bo każdy przepływający

tedy czyni to samo, ale na ten raz sentymentalna czy też uparta tylko Angielka nie pozwoliła na to.

Popłynęliśmy przeto dalej, omijając ogromny Parsanger-ford, prosto do Kielwiku, bo tak wypadła droga statkowi. Po trzydniowym pobycie w Kielwiku, na wyspie Magero, można było płynąć albo na południe, albo na północ, koło przylądka Północnego, ale terażniejszy kapitan ani spytał nikogo o jego chęci, tylko popłynął na północ, jak mu było dogodniej, nie tak, jak poprzednik jego, z którym musieliśmy rozstać się niespodzianie. Od Kielwiku zatem popłynęliśmy na północ, a potem zawrócili na zachód, okrążając wyspę Magero.

Mieliśmy ciąglą pogodę, odkąd byliśmy na oceanie, teraz stalowe barwy nieba i ziemi zaczęły ciemnieć mocno, ocean stał się prawie czarny, ale na samej północy, w stronie krajiny cudów nieznanych, pojawiło się dziwne zjawisko, bladorożowa smuga zaczęła występować coraz szerzej i wyraźniej, rozdzielając niebo od oceanu, słońce tymczasem świeciło ciągle, stając się bledszem co chwila... Zdawało mi się, że jestem na innym świecie, ponure uczucia tłoczyły mi serce, gdybym nie lękał się przestraszyć ojca, byłbym się rozpłakał. Wtedy spostrzegłem naraz niedaleko od naszego parowca skałę czarną, ogromniejszą nad wszystkie, jakie już widziałem, a która z szeregu porożrywanych skał nadbrzeżnych występowała daleko w głąb czarnych wód oceanu. Cofnąłem się z przestachem, zaledwo okrzyk powstrzymałszy, bo zdawało mi się, że ta skała wyrosła nagle z ciemności, i że statek, idąc wprost na nią, roztrzaskać się musi.

— Macie państwo przylądek Północny! — rzekł kapitan.

Przylądek północny jest strasznym, skalistym olbrzymem, który ze wszystkich europejskich najdalej wkroczył w dziedzinę Północnego bieguna. Opływamy go, parowiec staje, i kilku turystów, między nimi tkliwa Angielka, płyną na ląd z zamiarem wdrapania się na szczyt tej skały, większej i od przylądka Nordskyn, i od wyspy Ptasięj. Ani ojciec, ani ja nie mieliśmy do tego ochoty. Staliśmy na kołyszącym się szkaradnie statku, patrząc, jak tamci płynęli i wpłynęli w jakiś zaułek w skałę, bo skała ta, jak wszystkie tutejsze, choć zdaleka zdaje się jednostajną, przecie poszarpana jest przez potężne burze północne, które od początku świata rozbijają się o jej stopy.

— Poszezerbiły go z wierzchu po nóżkach, ale i sobie szocerbią zębiska smoki-gadziny, a jemu nic, i drwi z nich!... — tak mówił o burzach i o przylądku północnym stary żeglarz Flink, przypatrując mu się z wielkiem zadowoleniem i smokząc ogromną gałę tytoniu, którą miał lewy policzek wypchany.

Statek nasz z wielkiem mojem zdumieniem zaczął nagle oddalać się od przylądka, już doprawdy myślałem, że burzliwy dowódca chce pozostawić naszych towarzyszy na owęj strasznej skałę, bo po kilka razy bywały już nieporozumienia między nim i nimi, ale stary Flink wytłómaczył mi, że odsuwamy się od skały przez ostrożność, aby masy śniegu i lodu, biejące na nią gdzienigdzie, nie osunęły się pod stopami zaciekłych turystów, i spadając a zwiększając się po drodze, nie dosięgły i nie zatopiły statku. Dopiero przypominałem sobie, że było to bardzo możliwe, bo już parę razy w ciągu podróży widziałem zdaleka spadające takie obrywy śniegowe ze strasznym hukiem, i dziwiłem się, że spotykam u północnego bieguna też same lawiny, o jakich zawsze słyszałem, jako o właściwościach gór południowych Alp w Szwajcaryi i we Włoszech.

Turyści bawili na swój wycieczce blisko pięć godzin, dostawczy się napowrót na pokład, pytali, czy widzieliśmy ich na płaskim śnieżnym szczycie przylądka Północnego, powiewających ku nam pledami, ale my nie widzieliśmy nic. Przypomnieli także małeńkie gałązki świeżego jałowcu i kilka barwnych kwiateczków... Aż krzyknąłem na ten widok, tak kwiaty zdawały mi się niepodobieństwem wśród tej martwej, czarno-skalistej przyrody. Ojciec przypomni mi dopiero, że już w Laponii norweskiej widzieliśmy kwiaty, kwitnące tuż obok śniegu, w miejscach, w których on stopniał zaledwie.

Przeciwieństwa stają tu obok siebie. Ludzie na parowcu utrzymują, że lato tutejsze bywa nawet bardzo ciepłe. Ja dotąd nie czuję tego ciepła, zapewne istnieje ono przez porównanie z tém, co tu musi być w zimie.

Turyści nasi opowiadali dużo o trudach wdzierania się swego na skałę, która od strony lądu nie jest wcale tak spadzistą, jak od strony oceanu; jednakże wchodzić i schodzić trzeba na czworakach i to jeszcze mając dobrych przewodników. Żał mi było trochę, że z nimi nie poszedłem, a gdy szli, byłem taki smutny, że ruszyć mi się nie chciało; nie wiem, czy potem widok kwiatów ożywił mię, czy się niebo rozjaśniło... ale gdybym chciał iść, to i ojciec byłby poszedł, a ja przyrzekłem matce, że i sam się niepotrzebnie nie będę narażał i ojcu będę odradzał.

Tymczasem nasi ludzie na statku łowili znów dorsze, bo to ich nieustanna robota, gdy tylko zatrzyma się statek. Nie wiem, jak im się nie przykrzy, nie tylko łowić, ale szczególniej jeść.

Spałem mocno, gdy straszliwe wstrząśnienie obudziło mię. I ojciec i ja zerwaliśmy się na równe nogi i wybiegli na pokład, sądziliśmy, że parowiec strzaskał się na skałach. Jednakże to, co we śnie zdawało się wstrząśnieniem statku, było tylko hukiem nowej lawiny, spadłej wprost w ocean, niezbyt daleko od nas istotnie. Stałem, patrząc na dziwnie poszarpane skały, zapomniawszy już o lawinie tegoż samego dnia, gdy skały te i morze u ich stóp zaczęły mienić się i jakby drzeć mi w oczach, i zwolna podniósł się z czarnych głębin potwór tak straszny, o jakim wyobrażenia nie miałem, gruby jak wieloryb, ale długi, jak dwadzieścia wielorybów przynajmniej, płynął, machając licznymi i dziwnymi pletwami, umieszczonemi nie jak zwyczajnie, lecz na wierzchu grzbietu, w dużych odstępach, ukazywał się i zanurzał częściami, jak to czynią płazy, kurejąc i rozciągając swe cielsko:

— Ojcie! ojcie! oto waż morski! — krzyknąłem. Ojciec i Flink i wszyscy Anglicy przypadli do mnie:

— *Then it is true!* A więc to prawda! — krzyknęli Anglicy.

— *At last!* Nareszcie! — wołała Angielka.

— Wąż morski istnieje rzeczywiście, widzimy go na własne oczy.

— Tak, cóżby to innego być mogło, jeżeli nie bajeczny dotąd potwór, waż morski, którego tysiące razy widziano już i zaprzeczano jego istnieniu — mówił ojciec. — Ale czy my zdołamy uciec przed tą okropnością nad okropnościami? — dodał ojciec, zwracając się do Flinka. I ja spojrziałem na Flinka i zdumiałem się, ujrawszy twarz jego wykrzywną podwójnie, bo i od wypchania tytoniem, jak zawsze i od ust rozdziawionych okropnie, a wiedziałem już, iż to znaczy, że Flink się śmieje.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Najlepszym i najpewniejszym środkiem wzbogacenia się jest oszczędność. Są ludzie, którzy bardzo dużo pieniędzy zarabiają, dochody mają ogromne, a jednak nic a nic z tego nie umieją zachować na gorsze czasy, a potem, gdy dochody się urwą, na stare lata niedostatek cierpią. Oszczędność zależy na tém najpierw, aby nie wydawać pieniędzy bez potrzeby na zbytki, bez których się obejść można, a potem, aby w porządku utrzymywać to, co się posiada, i każdy przedmiot umieć należycie zużytkować. Ile to rzeczy naprzykład wyrzuca się i marnuje dlatego, że nie są nam potrzebne na razie, w chwili obecnej, chociaż mogłyby się przydać później kiedyś, jeżeli nie nam, to innym ludziom uboższym. Mało kto o tém pamięta, że najmniejszy, choćby podarty i zniszczony kawałek płótna, może być użyty na szarpie, a skrawki jedwabnych materyi dają się przerabiać na ładne tkaniny. W krajach, gdzie przemysł ze wszystkiego skorzystać umie, zbierają

Zagadnienie naukowe.

skrętnie najrozmaitsze odpadki, wszelkie szczątki, choćby niewiem jak zniszczone, brudne, a po należytem oczyszczeniu, użytkowują po fabrykach na piękne nowe wyroby.

Któżby uwierzył, że stare, podarte i zniszczone zupełnie obuwie, może służyć do sporządzenia nie tylko użytecznych, ale nawet ozdobnych przedmiotów, albo że można coś zrobić z dymu, unoszącego się kłębami z kominów. A jednak Amerykanie, którzy są niezmiernie bogaci, dlatego właśnie, że umieją być przemysłni, oszczędni i praktyczni, wynaleźli sposób użytkowania starego obuwia i dymu, jak to opowiemy zaraz.

Buty, trzewiki, znoszone zupełnie i nie dające się już naprawiać, kładą się na drobne kawałki, skóra tak przygotowana moczy się w rozmaitych roztworach, które ją oczyszczają i rozmiękczają, w końcu zamienia się to w jednolitą masę, a ta następnie w przyrządach stosownych ugniatą się naksztalt papieru, osusza i wygląda zupełnie, jak najpiękniejszy safian. Wyrabiają też z tego materiału także same przedmioty, jak z prawdziwego safianu, torby podróżne, pugilaresy, pokrowce, ozdobione pięknymi odciskami, złoceniami i t. d. Też same odpadki skórzane, zupełnie sproszkowane i odmiennie trochę przyrządzone, dają masę twardą i zbitą, która znów naśladuje kauczuk wulkanizowany i służy do wyrabiania grzebieni, obsadek do piór i tym podobnych przedmiotów.

Posłuchajcież teraz co się robi z dymu. Najpierw przypomnijmy sobie co to jest właściwie dym. Gdy węgiel pali się w piecach, znaczna jego ilość niknie nam całkowicie z oczu, bo węgiel, łącząc się z tlenem powietrza, zamienia się także w gaz niewidzialny, dwutlenek węgla i ten rozpyla się w powietrzu, ulatując kominem. Ale nie wszystek węgiel wypala się doskonale, część zawsze pozostaje, rozdrabia się na pył i w postaci dymu unosi się z prądem powietrza. W kominach z tego powodu nagromadzają się zwykle sadze, czyli węgiel niespalony w płomieniu. Im silniejszy jest ciąg powietrza i ogień gwałtowniejszy, tym mniej dymu pozostaje po spaleniu. Po fabrykach, gdzie się palą ustawicznie ogromne ilości węgla, i dymu także niezmiernie mnóstwo się wytwarza, w okolicach fabrycznych chmury ciemnego dymu ciągle się unoszą w powietrzu i niemiły sprawiają widok.

Otóż w Ameryce powiedziano sobie, że szkoda, aby ten wszystek węgiel marnie przepadał i obmyślono sposób chwytania go w rury, umyślnie w tym celu z kominami połączone. Nagromadza się z tego takie mnóstwo sadzy, że wyrabiają z niej gaz oświetlający, oraz różne inne chemiczne przetwory. Jest to czysty zysk, gdyż przedtem ów dym bez żadnego pożytku ulatywał kominami w powietrze. W pewnej miejscowości w Stanach Zjednoczonych amerykańskich obliczono, że dochód, otrzymany z dymu fabryk, wystarcza do opłacenia robotników, pracujących przy tych fabrykach. Jest to oszczędność niesłychana, która od razu podniosła znakomicie wartość tych zakładów przemysłowych.

Ważna to rzecz bardzo od dzieciństwa przyzwyczajając się do tego, aby nic nie marnować i nie wyrzucać, zawsze wprzód zastanowić się, czy nie można tego przedmiotu użytkować na cośkolwiek, dla siebie lub innych. Owi praktyczni Amerykanie, którzy ciągną korzyści ze starego obuwia, dymu, i wielu innych rzeczy podobnych, nie przyszliby do takich dowcipnych pomysłów, gdyby ciągle o tym nie pamiętali, że nie przepadać nie powinno i nie mieć we zwyczaju przestrzegać we wszystkiem oszczędności.

Wiadomo, że świeczek żelazny, wrzucony do wody, opada na dno, a deseczka drewniana pływa po wodzie. Każdy od razu zrozumie przyczynę: oto świeczek jest ciężki, a deseczka lżejsza. Dlaczegoż jednak ten sam świeczek, położony na deseczce pływającej, utrzymuje się na niej wybornie i nie zatapia deseczki swym ciężarem?

(Prosimy bardzo czytelników, aby na te zagadnienia przysyłali odpowiedzi, pseudonymami podpisane, ażebyśmy mogli wydrukować pseudonimy wszystkich, którzy trafnie odpowiedzą).

ZAGADKA.

Ułożona przez Ludwika Niemojowskiego dla Skrzydlatego Pegaza.

Często ci się widzieć zdarza,
Jak w warsztacie u stolarza
Rzną deseczki. W innym czasie,
Po skończeniu nauk w klasie,
Kiedy z szkolnej wstaniesz ławki,
Służę tobie do zabawki;
Z rąk twych wtedy raźnie, żwawo,
Skoczę w lewo albo w prawo;
Widzisz zatem z zagadnienia,
Że we mnie są dwa znaczenia.
A więc, Skrzydlaty Pegazie,
Zgadnij zagadkę na razie.

Czarodziejska sztuczka.
(Prymulka różowa).

Arak — gont — Aria — rowy — aga. — Odjąć roślinę,
a zostanie skorupiak, jezioro w Ameryce i miasto w Europie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go.

Zagadki:

Litera X.

Łamigłówki anagramowej:

1. Wina, 2. Izaak, 3. Nora, 4. Czapka, 5. Elba, 6. Niniwa,
7. Tasak, 8. Yard, 9. Pierś, 10. Omar, 11. Lima.

Wincenty Pol.

TREŚĆ: Velocyped wodny (z drzew.) — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a (c. d.) — Mały artysta, wiersz p. Ludwika Niemojowskiego (z drzew.) — Zwycięstwo pod Chocimem. — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Mała malarka (z drzew.) — Roztropna Nusia, wierszyk p. Azeta. — Jakaś p. Z. Morawska. — Przygody Stasia, p. C. Falkowska. — Łamigłówka, rozwiązanie, Skrzydło do listów. Dodatek książkowy: Garbusek, powieść dla dorastających panienek p. Maryi Świdarską.



Mała malarka.

MAŁA MALARKA.

Ojciec małej Feluni był malarzem, malował na płótnie różne śliczne obrazy, a Felunia lubiła niezmiernie siedzieć w pracowni swego tatki i przypatrywać się jego robocie. Tatka pozwalał na to, byle tylko była grzeczna i nic nie dotykała rączkami, ale zabraniał wchodzić do pracowni podczas swojej nieobecności.

Dnia pewnego tatka wyszedł z rana do miasta i dłu-

go nie wracał, a mama nie odstępowała od kolebki małego braciszka, który był troszkę słaby. Felunia znudziło się siedzieć samą, choć miała różne zabawki, wysunęła się więc niepostrzeżenie z pokoju i pobiegła do pracowni tatki, bo myślała, że on może już tam jest. Ale tatki nie było jeszcze, więc Felunia chciała powrócić, bo pamiętała, jak tatka nieraz powtarzał, żeby nigdy nie wchodziła sama do pracowni. A wtém spostrzegła na ziemi figurkę białą, taką zabawną, wczoraj jeszcze téj figurki tam nie było. Dziewczynka zbliżyła się, aby ją lepiej

obejrzeć i obaczyła tuż obok otwarte pudełko z farbami i pendzle tatki.

— Taka nieładna ta figurka — pomyślała sobie — twarz ma taką białą, niepodobną wcale do prawdziwej. Tu właśnie jest różowa farba, pewnie tatuś będzie malował na niej ładne rumieńce. A możebym i ja potrafiła to zrobić.

I Felisia zabrała się do roboty, jak to widziecie na obrazku. Co to była za robota, łatwo się domyslić; nie tylko figurce się dostało, ale i paluszkom Felisi, i sukienice, nawet na podłogę tyle farb się rozkładało, że tatka aż wykrzyknął z przestachu, gdy wszedł do pracowni i zastał to gospodarstwo swojej córeczki. Gniewał się trochę, ale nie mógł się wstrzymać od śmiechu. Felisia ślicznie tatkę przeprosiła, a że była jeszcze maleńka, więc tatka jęj przebaczył i nawet mamy prosił, ażeby nie łajała dziewczynki bardzo, bo ona tego drugi raz nie zrobi.

ROZTROPNA NUSIA.

Mała, lecz roztropna Nusia,
Ulubiona dziadzi wnusia,
Najmilsza tatki córeczka,
Więc rozpieszczona troszczeka,
Że najmłodsza i pieszczochka,
Wiedząc, iż ją każdy kocha,
Nawykiła przewodzić w domu
I nieustąpić nikomu.
Z wiekiem rosła brzydka wada,
I już trudna była rada;
Tatko martwił się okrutnie,
Dziadzio głową kiwał smutnie;
Aż raz w południe gorące,
Będąc z tatką swym na łące,
Zapytała Nusia tatki,
Na co wyrastają kwiatki?

Na to odrzekł Nusi tata:

— Kwiatki są uciechą świata,
Wielkie drzewa, krzewy, krzaczki,
Nawet trawki nieboraczki,
To są wszystko ziemi dziatki,
Lecz najmłodsze z nich są kwiatki,
I przeto też, że najmłodsze,
Są najcichsze i najśodsze.
Z nich to pszczołka miodek zbiera,
Niemi ołtarz się ubiera,
Wielki pałac, nędzną strzechę,
Ludzkim sercom na uciechę;
A kwiatek się z każdym zgodzi,
Wszelką dolę ziemską słodzi,
Cichy, miły z każdym w świecie,
Bo on jest najmłodsze dziecię!...

Nusia, bystra, chociaż mała,
Milcząc słów tych wysłuchała,
W końcu nawet z łezką w oku,
Patrząc tatce w oczy z boku,
Nie mówiła ani słówka,
Lecz snadź pracowała główka,

Bo się odtąd odmieniła
Najzupełniej Nusia miła,
Tak, że trudno dziś na świecie
Znaleźć miłsze od niej dziecię.

Azet.

JĄKAŁA.

Zygmus był bardzo dobrym chłopczykiem, uczył się pilnie i słuchał wszystkiego, co mu mama opowiadała, a potem lubił to chłopcom ze wsi powtarzać. Chłopcy przychodzili do niego tém chętniej, że Zygmus zawsze im opowiedział, to o jakim wojowniku, który pokonał nieprzyjaciół, to o rozmaitych ludziach, mieszkających w dalekich stronach, gdzie nigdy niema zimy, tylko zawsze słońce dogrzewa; słowem, tak umiał swoich słuchaczy zaciekawić, że ci czekali tylko, rychło Zygmus się między nimi ukaże.

Lecz niewiedzieć zkąd przyszła mu niedorzeczność do głowy, zaczął udawać, że się jąka, prócz tego bardzo wielu liter nie wymawiał lub przekręcał je w najdziwniejszy sposób. Tak udając przez żart, nauczył się źle mówić i z trudnością przychodziło mu kilka wyrazów jak się należy powtórzyć. Rodzice bardzo się tém martwili, zawieźli nawet Zygmuta do miasta i prosili doktora, ażeby zbadał, czy się ich synowi w głowie nie popsulo.

Doktor rozmawiał z Zygmutem, obejrzał go od stóp do głowy i powiedział, że chłopiec jest zdrow zupełnie, tylko się uparł i zdaje mu się, że nie może mówić, bez jakania się za każdym wyrazem.

Mama pracowała nieraz bardzo długo nad upartym chłopczykiem, kazała mu powtarzać po kilka razy jeden wyraz lub literę, lecz Zygmus, co wymówił *k* lub *g*, jak się należy, to znów tam gdzie trzeba było wymówić *g*, mówił *k* i powtarzał:

— *Moja-ja go-gochana mateczgo-go, ja-ja nie moke-ke uinaczéj!* — I krzywił się niemiłosiernie.

Chłopcy, którzy tak chętnie przychodzili dawniej do niego, teraz uciekali, bo gdy im zaczął co opowiadać, to tak poprzekręcał wyrazy i tak się jąkał, że go nic a nic nie rozumieli.

I wkrótce nikt inaczéj go nie nazywał, tylko Zygmus jąkała. Pomimo takiej brzydkiej wymowy, Zygmus uczył się bardzo dobrze, był przygotowany do pierwszej klasy i rodzice postanowili go oddać do szkół do blizkiego miasteczka. Lecz jak go tu oddać z domu, kiedy chłopiec tak mówił, że kto go tylko usłyszał, to się śmiał, powtarzając:

— A to ten chłopiec zamiast chleba zjada litery i przełknąć ich nie może.

Zygmus jednak wcale tego nie brał do serca i nie starał się poprawić.

Na lato przyjechał do rodziców wujaszek, którego jeszcze Zygmus nie znał. Słyszał tylko, że wujaszek był w bardzo dalekich krajach, umie o tych podróżach ciekawe rzeczy opowiadać i lubi, gdy go się o to wypytują. Z początku więc słuchał, jak wuj z rodzicami rozmawiał, nie odżywając się ani słówka, tak, że wujaszek wcale nie

wiedział o szkaradnej jego wymowie; lecz gdy wujaszek usiadł na ławce w ogrodzie i nikogo więcj nie było, Zygmus ośmielony już do niego, zapytał:

— Czy w tym *raju*, co wujaszek był, są *kóry*?

Wujaszek uśmiechnął się i spojrzał na chłopca zdziwiony.

— Ależ ja w w żadnym *raju* nie byłem — odrzekł — a co do kur, to jest ich pełno wszędzie, gdzie hodują ptactwo domowe, lecz nie przypatrywałem im się, bo nie wiedziałem, że cię kury tak bardzo obchodzą.

Zygmus zaczerwienił się, bo przecież on chciał się zapytać o kraj i góry, a tymczasem zapytał zupełnie o co innego. Zawstydził się więc bardzo, a chcąc się poprawić, zaczął znów mówić jękając:

— A ja-ja... — i dalej nie szło mu pytanie.

Wujaszek znów się uśmiechnął i rzekł:

— Dziwny z ciebie chłopiec, że mnie się o raj, kury i jaja wypytujesz! Gdybym był wiedział, że chcesz hodować zagraniczne *kury*, to byłbym dla twojej przyjemności przywiózł kurę, a nawet zabrał gniazdo z jajami jakiego nieznanego u nas gatunku.

I to mówiąc, wstał z ławki i odszedł, bo rozmowa z chłopczykiem, wypytującym go o kury i jaja, zaczęła już nudzić wujaszka.

Zygmus uciekł do swego pokoju i zasmucony usiadł przy stoliku, podparłszy się na rękę. Cieszył się tak, że mu wujaszek dużo ciekawych rzeczy opowie, a tu naraz wszystko przepadło, bo wujaszek nie rozumie jego jękających i poprzekręcanych zapytań. Gdy tak rozmyślał, mama przechodziła przez pokój.

— Matusiu moja... — i urwał dalsze zapytanie, bo znów nieszczęśliwe jaja zabrzmiały mu w ustach.

Matka stanęła, czekając, aż on wyjąka swoją prośbę, a Zygmus rzekł wreszcie powoli, bez zająknięcia:

— Niech matusia nie mówi wujaszekowi, że ja tak źle mówię.

Matka z przyjemnością usłyszała tych kilka wyrazów dobrze wymówionych, a uśmiechnawszy się, rzekła:

— Ja nic nie powiem, lecz wujaszek i tak sam spostrzeże.

— Oho, nie spostrzeże — pomyślał sobie Zygmus po wyjściu matki — bo dopóki nie oduczę się jękania i przekręcania liter, nie odezwę się ani słówka. — I z dobrą jakąś otuchą zaczął powtarzać sobie — Co innego jest *raj* co innego kraj, co innego *góry*, a co innego *kury*.

A potem powtarzał rozmaite wyrazy, zaczynające się od *g* lub *k*, a wymawiał to wszystko powoli, żeby się nie pomylić.

Przy herbacie, gdy mu mama dała ciastko, powiedział bez zająknięcia: dziękuję, a nie tak jak dawniej *niegłukuję* i prosił, żeby mu ukroiła kawałek chleba swoim nożem, nie tak, jak dawniej mówił: żeby mama *poła wałek* swoim nosem.

Przez kilka następnych dni Zygmus nie widział wujaszka, bo ten pojechał w sąsiedztwo. Korzystał więc z jego nieobecności i oduczał się wadliwej mowy. Chodził nieraz po ogrodzie i czytał powoli, głośno, a gdy mu było nudno przyzwyczajenie nie pozwoliło bez zająknięcia wymówić jakiego wyrazu, zastanawiał się nad nim i ponawiając jękanie, głośno wymawiał.

Gdy wuj przyjechał, Zygmus zapytał go wyraźnie, czy w krajach, gdzie przebywał, są wysokie góry. Wuj opowiadał mu dużo ciekawych rzeczy, a chłopiec, pokonawszy raz nawyknienie jękania się i przekręcania wyrazów, oduczył się już tego zupełnie, a gdy z początkiem roku szkolnego odwiedziono go do gimnazjum, uczył się bardzo dobrze i nikt go już nigdy jękałą nie nazywał.

Z. Morawska.

PRZYGODY STASIA

Z PAMIĘTNIKA SPISALA

C. Falkowska.

(Dalszy ciąg).

— Jabym radziła — rzekła stryjenka — żeby go ostro trzymać i karać surowo, jest to dziecko rozpieszczone, rozgrymaszone, i tylko tym sposobem może się poprawić.

— Jużbym dawno był użył tego sposobu, ale ten stary Maciej będzie głosił, że krzywdzę sierotę.

— Jest i na to rada, oddalić Macieja, on nam niepotrzebny, a chłopca psuć musi.

— Dobrze mówisz, jak Macieja nie będzie, różga nauczy malca posłuszeństwa.

Ledwie dosłuchałem tych słów, pobiegłem do Macieja i wszystko powtórzyłem, stary aż zapłakał i rzekł:

— Nie ma dla ciebie innego ratunku, trzeba jechać do ciotki, chociaż ona od wielu lat jest cierpiąca, jednak dobrą będziesz miał opiekę. Bądź wytrwałym, cierpliwym, wszystko złe minie, a ty będziesz szczęśliwy. Ja teraz pojadę do Warszawy, opowiem ciotce, jaki los twój jest smutny u stryja, i będę prosił, żeby cię jaknajprędzej zabrała do siebie; pod kierunkiem téj zacnej kobiety wyjdiesz na człowieka. Nie pamiętam tylko numeru mieszkania ciotki, wiem, że przy ulicy Nowogrodzkiej mieszka, ale bądź spokojny, znajdę ją z pewnością.

— Mój drogi Macieju, jakże ja tu sam zostanę bez ciebie? Stryj weźmie się do różgi, to okropne, wszak mnie rodzice nigdy nie karali, nie zniosę kary od nikogo.

— Posłuchaj mnie, Stasiu, popraw się, zacznij bawić się z dziećmi, nie odpowiadaj hardo stryjowi, to zażegnasz burzę, wiszącą nad twoją głową.

W kilka dni potem, Maciej został odprawiony, żegnając go, ściszałem z płaczem, on mnie pocieszał, że niedługo mieć będę wiadomość na ręce gospodyni, od wielu lat służącej w naszym domu.

— Tymczasem zachowaj się, Stasiu, dobrze, to ci się nic złego nie stanie.

Przyrzekłem poprawić się, Maciej jeszcze mnie pobłogosławił i odjechał.

Obietnicy dotrzymałem, zacząłem się bawić z braćmi, stryjowi nie odpowiadałem hardo, a nawet nauczyciel był ze mnie zadowolony.

Jednego dnia bawiliśmy się w ogrodzie w wojsko z szabłami drewnianymi, rozpoczęła się wojna, Kazio rąbnął mnie po nosie, aż krwią się zalałem. Nie wiele my-

Skrzynka do listów.

śląc, porwałem kamień i rzuciłem na Kazia, który upadł jak długi, a Michaś krzyknął:

— Zabiłeś mi brata, niegodziwcze!

Przerażony temi słowami, zacząłem uciekać, przelażłem przez parkan na pole i dobiegłem do blizkiego lasu, tam dopiero odetchnąłem chwilę, nie myśląc już wracać do domu. Przyszło mi do głowy wszystko, co kiedy słyszałem o zabójcach, jakie ich kary czekają. Najpierw więzienie, straszna hańba i kara Boska cięższa nad wszystko.

— O Boże! — zawołałem — ratuj mnie! O ojcie i matko! zaopiekujcie się nieszczęśliwym synem, bo nie wiem, co mam robić z sobą!

Nie pozostawało mi nic innego, jak iść do Warszawy do ciotki, byłem ją tylko znalazł, albo spotkać Macieja, ale jakże tu iść bez czapki? Trudno, iść trzeba! wracać niepodobna. Chociażbym nie zabił Kazia, ale mogłem go skaleczyć, w każdym razie nie uniknąłbym kary. Wiedziałem, w którą iść stronę, bo parę razy jeździłem do Warszawy z rodzicami, do szosy było dwie wiorsty lasu. Nie lękałem się tą razą ani wilków, ani złych ludzi, obawiałem się tylko, żeby mnie nie dopędzili słudzy stryja. Biegłem z dala od drogi przez krzaki, pnie sterczące, nieraz upadłem, podrapałem ręce i twarz. Doszedłem do szosy, gdy już noc zapadła, miałem jeszcze mil dziesięć do Warszawy, a po przejściu dwóch wiorst tak byłem zmęczony, że musiałem usiąść pod krzakiem. Głód zaczął mi dokuczać, sięgnąłem do kieszeni, była tam skórka chleba od podwieczorku. Często w domu byłem głodny, bo nie śmiałem stryjenki prosić o jedzenie, smutna jest dola sieroca! Dopóki żyją rodzice, dzieci nie pojmują, co ich czeka, gdy utracą jedynych opiekunów. Zjadłszy skórkę chleba, doszedłem do pierwszej chaty we wsi, blisko niej stał stóg słomy, chciałem pod stogiem zanocować. Wtém wybiegły psy, zaczęły szczekać, i szarpać odzienie na mnie.

— Ratujcie! ratujcie! — krzyczałem, aż wyszła kobieta z chaty, obroniła od psów i wprowadziła do izby, oświeconej jasnym ogniem z komina.

(d. c. n.)

Zadanie konikowe.

(Od Gołębia z nad Warty dla Orła z nad Niemna).

Nie	do	ra	ków
*	kra	no	*
wa	od	zbu	zu

ROZWIĄZANIE DO N-ru 45-go.

Zagadki:

Pszczółka.

Wierzbie z nad Wisły dziękujemy serdecznie w imieniu biednego dziecka za przyslaną dłoń koszulkę.

Grażynę trzymamy za słowo i teraz „po przełamaniu pierwszych lodów”, spodziewamy się odbierać częste liściki, a do odczytywania ich nie potrzeba będzie wcale anielskiej cierpliwości, jeśli wszystkie tak porządnie i wyrażnie będą pisane, jak ten pierwszy. Co do szarad i łamigłówek, mamy ich takie mnóstwo w zapasie, że nie potrzebuje Grażyna śpieszyć się z układaniem i nadsyłaniem nowych.

Stokrotka z nad Stochodu dobrze robi, że pisze dużymi literami, dlatego też pismo jej, chociaż niebardzo jeszcze wpławne, na nazwę gryzmołów nie zasługuje. Gryzmoła tylko to panienki, a jest ich niemało, co piszą bardzo prędko, drobiuteńko i niewyraźnie. Podziękowanie Stokrotki za wzmiankę o niej w wierszykach przesłamy p. Niemojowskiemu, który coraz nowe niespodzianki przygotowuje dla naszych kochanych korespondentek.

Gazeli z nad Czarnéj przedewszystkiem winszujemy powodzenia w egzaminie i dziękujemy serdecznie, że się tą wielką radością swoją z nami podzieliła. Słusznie powiada Gazela, że nagroda, którą zdobywamy pracą, jest rzeczą najmiłą w świecie. Gdyby wszyscy o tym raz tylko przekonać się chcieli, mniej byłoby z pewnością leniuszków. Za hojny dar 2 rs. dla ubogich, dziękujemy w ich imieniu kochanej Gazeli. 1 rs. oddano dzieciom wygnańca z Prus, drugi na wpis dla uczniów.

Wytrwałości nie możemy wskazać pisemka francuzkiego dobrego i taniego zarazem, wszystkie lepsze, jak *Magasin d'éducation et de récreation*, *Journal de la Jeunesse*, *St. Nicolas*, są drogie, od 8 do 12 rs. kosztują.

Topolkę z nad Kodemy witamy serdecznie po tak długim milczeniu. Nie dziwimy się, że kochana Topolka nie miała ochoty do pisania liścików w czasie wakacyj, ale teraz przecież wynagrodzić to można. Mrówka zapewne przestała czytać „Wieczory”, bo nigdy się do nas nie odzywa. Może jednak wpadną jej w oczy te słowa i przypomni sobie dawną swoją nieznana przyjaciółkę. Na gwiazdkę dla biednych dzieci każdy przedmiot przyda się bardzo, zawczasu kochanej Topolce za jej dobre chęci dziękujemy.

Gwiazdka z Małej Rusi nie mogła nam większej sprawić przyjemności, jak przysłaniem fotografii. Wiemy już teraz przynajmniej, jak wygląda ta miła Gwiazdeczka, oddawna w redakcji naszej kochana. Nagroda wysłana w paczce rekomendowanej, zapewne już doszła, przepraszamy za opóźnienie. Nauczycielce dziękujemy za tyle życzliwości, list jej odczytany był ze współczuciem i rozrzewnieniem.

Panu Bronisławowi Fr. Rękopis jest do zwrotu, mamy kilka podróży z przygodami w zapasie, tłumaczeń żadnych w ogóle przyjmować nie możemy.

„Kochana Biedronko warszawska! Powiedz mi, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz? Winszuję ci nagrody konkursowej. Kończ już swój list, twój znajomy, Orzeł z nad Niemna”. (ciekawą rzecz, poco Orzelek żąda tych szczegółów od Biedronki, skoro jest jej znajomym? przyp. red.)

NA GWIAZDKĘ

DLA STARSZYCH I MŁODZIEŻY.

PAMIĘTNIK O MARYI WESŁÓWNI KRÓLEWICZOWEJ KONSTANTOWEJ SOBIESKIEJ.

Cena rs. 1 kop. 35.

Dla prenumeratorów Wieczorów Rodzinnych, przysyłających pieniądze wprost do redakcji, bezpłatna przesyłka pocztowa.